DWUMIESIĘCZNIK KOŁA KRAJOZNAWCZEGO
IM. PROF. LUDOMIRA SAWICKIEGO, UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO
GIMNAZJUM IM. KRÓLA STANISŁ. LESZCZYŃSKIEGO W JAŚLE.

Nr. 1 (25). Styczeń - Luty 1937 r.

Rok VI.

Biblioteka Jagiellońska
1002035853

# MŁODY GEOGRAF

TREŚĆ



263

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: JASŁO, PAŃSTWOWE GIMNAZJUM.

REDAKTOR: PROF. JÓZEF STAŚKO.

Czcionkami Zakładu Graficznego BRACI SKRUDLIK W JAŚLE — Targowica 9.

*Józef Staśko.*

# Za Pirenejami zaczyna się Afryka.

## II.

W czasie swej wędrówki po Hiszpanii, jaką odbyłem ze swym bratem z okazji dwóch wielkich wystaw: Iberyjskiej w Barcelonie i Południowo Amerykańskiej w Sewilii, w lecie 1930 r., mogłem przyjrzeć się nietylko wspaniałym krajobrazom i bogatej sztuce i architekturze, ale przedewszystkiem zwracał uwagę niezwykły mieszkaniec tej fantastycznie pięknej ziemi.

Już wówczas widziało się sceny, które mogły zdumiewać nawet obcego widza, a cóż dopiero bacznie obserwującego turystę. Obok powszechnej nędzy i biednych lepianek kwitło bogactwo i wznosiły się kapiące przepychem liczne kościoły i pałace. Nie widziało się żebraniny, bo duma narodowa każdego Hiszpana nie pozwala mu o nic prosić ani ręki wyciągnąć, ale zato tłumy oberwańców wygłupiały się do żaru słonecznego po ulicach tłumnych miast i wylegiwały się bezczynnie całymi godzinami popod murami wprost na kamieniach. Obok eleganckie kawiarnie z rozmachem urządzone przepełnione były innym tłumem: to młodzi ludzie w lakierach zazwyczaj i dystyngowani zasiadali gęsto o każdej porze dnia przy kawie lub lodach, oddając się popularnemu tu próżniactwu.

Przyglądając się tak tym obu krzykliwym tłumom kontrastowo różniących się między sobą, zaraz wdzierała się do mózgu myśl: z czego ci ludzie żyją? czy oni kiedy pracują i właściwie co robią?

I takich kontrastów było co krok dużo.

Ażeby poznać bliżej człowieka, należy zbadać jego pochodzenie, przeszłość, rozwój historyczny jego kultury, jego warunki pracy i życia. I dlatego pozwolę sobie tu krótko na przedstawienie tych wielkich przeobrażeń społecznych i kulturalnych, jakim uległa Hiszpania w ciągu swoich dziejów. Hiszpania nie jest dziś jednolitą ani co do swej ludności ani co do kultury. Zbyt wiele wędrówek narodów i przesiedleń się koczowniczej ludności odbyło się tutaj wciągu wieków, aby można było powiedzieć, że Hiszpan z Aragonii czy Katalonii jest podobny do Kastylijczyka, czy Andaluzyjczyka.

Hiszpania południowa jest może najbardziej obcą Europie. Tutaj jeszcze dzisiaj żyją Berberowie, Maurowie i inne plemione muzułmańskie, choć tak zmieszani i połączeni z krwią romańską i iberyjską, że zewnętrznie mało można rozpoznać. Chcę pójść dalej: Iberowie, przodkowie dzisiejszych Hiszpanów, mogą też być przybyszami z Afryki. Wąska cieśnina Gibraltarska była mniejszą przeszkodą w wędrówkach ludów, niż potężny łańcuch Pirenejów.

Iberowie byli potomkami plemion również afrykańskich. Koczowali w lasach wśród gór i może inaczej potoczyłaby się ich historia i kultura; gdyby nie chciwość Kartaginy na bogate złoża srebra w górach półwyspu spoczywające. Ale ilu tych Kartagińczyków mogło przywędrować do Hiszpanii? Wszak Kartagina wcale nie była ludnym państwem. Najwyżej w okolicach Nowej Kartaginy i Mursji można odczuć wśród ludności pewne odchylenie etniczne na korzyść semickich przybyszów.

A potem przyszli tu Rzymianie, ale tych była garstka, która trzymała się zawsze osobno od podbitego narodu, który umiłował tak dalece wolność i swobodę na swoich stepach, że podbój kraju Iberów po upadku Kartaginy trwał jeszcze przez długie dwa wieki. Więźniowie rzymscy wiezieni do Italii okrętami nieraz woleli przebijać na pełnym morzu dno, aby zatopić je razem ze swymi wrogami, choć sami przy tem ginęli. A konsul Scypio ma pod sobą 60 000 doborowego wojska i nie może pokonać 4.000 mieszkańców dzielnie bronionej Numancji.

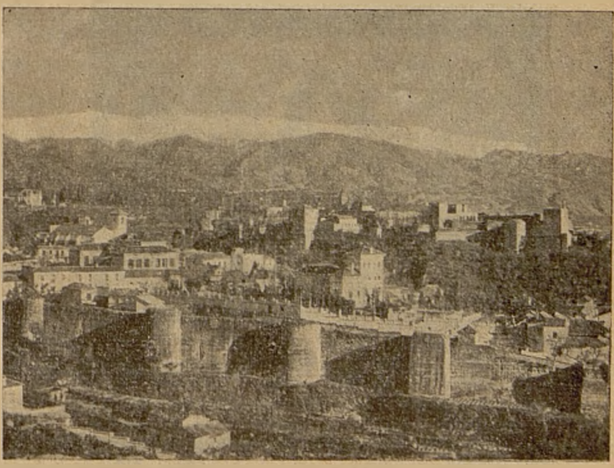
Rzym narzucił Iberom swój język, pobudował u nich wspaniałe gościńce, akwedukty, termy i areny, ale nie potrafił zbliżyć do siebie ujarzmionego narodu. Po upadku Rzymu na półwysep Iberyjski wdzierają się hordy Wizygotów. Ci osiedli główne w dolinie Ebro i nad morzem Śródziemnym, wprowadzając domieszkę krwi germańskiej i nowe elementy językowe do ludności tubylczej.

Wreszcie Maurowie idący zgłębi Afryki, od gór Atlas i stepowych wyżyn berberyjskich. Oni to, owładnąwszy na kilka wieków półwyspem, zdołali wszczepić w ludność pewne cechy arabskie, a przedewszystkiem artyzm, poezję i dążenie do wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne. W Andaluzji spotyka się chłopów dumnych jak książęta, wytwornych jak artyści, gadatliwych i pyszałków, jak w południowej Francji.

Potem przychodzą wojny o niepodległość i powolne wypieranie Maurów z Hiszpanii. Bliskie pięć wieków tych walk odbiło się na duszy Hiszpana, dało mu wiele męstwa, odwagi i szlachetnych porywów. Po upadku Granady następuje zjednoczenie się królestw na półwyspie i odtąd datuje się nowa wielka Hiszpania. Monarchia opiera potęgę na katolicyźmie. Królowie stają się apostołami i nawet otrzymują przydomek katolickich. Ażeby móc się obronić przed zamachami ze strony licznych wrogów pozostałych w kraju i aby tem skuteczniej nawrócić na chrześcijaństwo ludzi innych religij, tworzą świętą Inkwizycję.

W tym samym czasie rozpoczynają się wielkie zamorskie wyprawy *conquistadorów* czyli zdobywców. Najwaleczniejsze i najenergiczniejsze żywioły idą za ocean zdobywać Nowy Świat. Wszystkim przodują miasteczka leżące w Estremadurze. Idą na podbój Ameryki wszyscy, co mają choć trochę awanturniczości w sobie. Wracają z łupami, złotem i kosztownościami na swoich okrętach. Inni zostają na nowym kontynencie, giną tam lub się rozmnażają zmieszani z tubylcami, tworząc nowego człowieka, neolatyna Ameryki Południowej.

Hiszpania się wyludnia. Za czasów rzymskich podobno liczyła 40 milionów, a za czasów Filipa II. tylko 20. Ludność pozostała ciągle w oczekiwaniu powrotu swoich najbliższych z Ameryki przestała pracować. Wszak ci, co wracali, wracali tak bogaci, że mogli budować pałace i kościoły, stawali się dobroczyńcami dla swoich miast, choć tam w Ameryce mordowali ludzi, tu stawiali cudowne katedry, ołtarze, kaplice, grobowce sobie i swoim najbliższym. Chciwość nowych korzyści i bogactw zrodziła lenistwo. Nastąpilo uprzedzenie do pługa i rolnictwo upadło bezpowrotnie. A potem przyszły głody, nędza i choroby. Wraz ze zniesieniem religijnych zwyczajów z czasów Maurów zniesiono też kąpiele. Również medycyna, matematyka, astronomia tak kwitnąca w Salamance i w innych uniwersyteckich miastach upadły. Zarazy szerzyły się w zastraszający sposób. Równocześnie kosztowne wojny, jakie prowadzili niepotrzebnie Filip II. i Karol V. z wielu państwami Europy, pochłonęły moc pieniędzy i mnóstwo ofiar. Hiszpanie wylewają morze krwi w Niderlandach i postępują gorzej, niż ich nauczyciele — Maurowie. Z nędzy rozpadały się całe wsie i miasta w Hiszpanii. Połowa kraju legła odłogiem Kto mógł, ratował się wstępując do klasztoru, który w tych czasach był ostoją życia i bezpieczeństwa, a zarazem pewnego dobrobytu i opieki na starość.



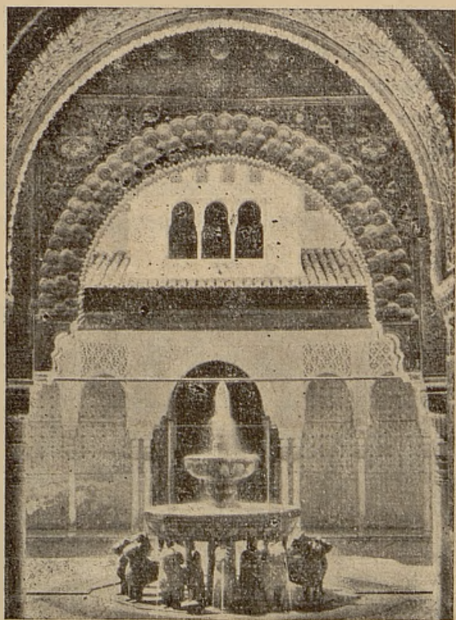
GRANADA. Widok na Alhambrę, Czerwone Miasto, siedzibę władców mauretańskich, na tle Gór Śnieżystych (Sierra Nevada).
Wznosi się na wspaniałej skale i mieści w sobie wspaniałe pałace, zwłaszcza pałac z XI wieku. Fot. J. Staśko.

Przewrót stosunków snołecznych, jaki nastał po opanowaniu Nowego Świata, był za gwałtowny i zbyt niebezpieczny dla narodu, który nigdy nie był pracowity i narażony na życie wśród skwarów słońca i suszy porzucił łatwo trudniejszy zarobek nieraz dla rozpalonej żądzy posiadania czegoś nowego. A potem przychodziły ruiny, gwałty, intrygi, łatwo zdobyte tytuły i godności. Podlili się ludzie ludzie często dla zdobycia sławy i zaszczytu dostąpienia dworu królewskiego. Naród nie widział klęsk na lądzie i na

morzu, bo się zachwycał pieśniami, czerpał pełną garścią z artystycznych dzieł swych mistrzów i upajał się tem, co wtedy budowano, rzeźbiono, malowano, śpiewano. I zagłada dla monarchii, jak i dla religii zbliżała się nieuchronnie.

Wojna światowa wzbogaciła tylko pewne sfery t. zw. wyższe, a mogła wzbogacić na dostawach wojennych cały naród.

Niektóre okolice kraju, jak Estremadura, zamieniły się na pastwiska. Stepy Kastylii i Aragonii, oraz Andaluzja nienawadniana jak za czasów Maurów, opustoszały i tylko przepyszne miasta o cudownie rżniętych fasadach licznych kościołów i pałaców mówiły o przeszłości i bogactwie kraju.



ALHAMBRA. Jeden z dziedzińców pałacu letniego, t zw. Lwów Koronkowe rzeźby z marmuru i alabastru, kunsztowne ozdoby zapełniające wszystkie ściany, wszystkie bramy. Obie szale wodotrysku, jak i posągi lwów są z pojedynczych głazów jednolitych wyrzeźbione. Fot. J. Staśko.

Zwiedzając Hiszpanię, widzieliśmy i rozumieliśmy dobrze wpływ życia zbiorowego z jego wadami na przeznaczenie całego narodu. Umysł narodowy został spaczony. To mówiły fakty.

Pokojówka hotelu w Barcelonie, gdzieśmy stanęli, doskonale władała francuskim, a zapytana, czy jest Hiszpanką, czy Francuzką, odpowiedziała z pychą:

Jestem Katalonką!

Kelner usługujący nam w hotelu Moria w Madrycie powiedział do nas, biegle mówiąc po niemiecku:

Greckie przysłowie mówiło: „Poznaj samego siebie“. Co za głupota

(Solche Dummheit!). My Hiszpanie, możemy sobie mówić: „Podziwiaj samego siebie“.

I poprawił swą elegancką krawatkę i spojrzał do lustra. I podziwia siebie każdy Hiszpan nawet wtedy, kiedy kilka razy dziennie daje sobie czyścić buciki na ulicy, lub kiedy przegląda się w szybie wystawowej mnóstwo razy dziennie.

Wielki filozof i uczony hiszpański, *Ganivet*, którego pomnik widzieliśmy w parku Alhambry w cieniu wiekowych wiązów, doskonale zobrazował charakter swego narodu:

— Gdyby mnie spytano o rodzaj tej nieuleczalnej choroby„ na jaką cierpimy, odpowiedziałbym, że jest to choroba niechcenia, czyli naukowymi słowy, cierpimy na osłabienie, wyczerpanie woli.

Ferdynand Katolicki skarży się do francuskiego ambasadora rezydującego przy jego dworze, mowiąc o swoim narodzie:

— Naród bardzo zdolny do broni, lecz zdezorganizowany. Żołnierze dużo więcej warci od kapitanów, a wszyscy razem lepiej umieją walczyć, niż kierować i rządzić. Może to dlatego, że niezgoda tkwi we krwi Hiszpanów, narodu o umysłach niespokojnych, biednych i gwałtownych.

Aby naznaczyć swą niezależność i niepodległość, Hiszpan wybiera bunt i rewolucję. Stąd to tyle wojen domowych zwłaszcza w wieku XIX. Dla Hiszpana prawo istnieje po to, aby je omijać. Biurokracja i ustawodawstwo w Hiszpanii jest przeciążone i zagmatwane. Zamiast sprawiedliwości zawsze były tylko bezprawia i samowładztwo. Na wyraz „sprawiedliwość“ widzi się tylko uśmiech lub drżenie. Za pieniądze można w Hiszpanii wszystko kupić nawet dyplom uniwersytecki. Niektóre uniwersytety mają nawet niemałe dochody ze sprzedaży dyplomów. Można też kupić urzędy, stopnie naukowe i nienaukowe, można uchylić się od pracy, od obowiązku służby wojskowej. Jakiego zawodu w Madrycie jest najwięcej? — adwokatów.

Prawdziwy duch religijny i etyczny jest w zarodku zgnieciony. W czasie podróży po Hiszpanii widziało się bardzo przykre sceny. W kościołach mężczyżni nie zdejmują kapelusza lub czapki, głośno rozmawiają i śmieją się. W czasie uroczystych nabożeństw w sławnych katedrach były pustki, podczas kiedy ulice zalegały tłumy. Jeżeli kiedy jaki kościół był otwarty, to nieraz widziało się jakiegoś człowieka, to był wieśniak, który przed cudownym posągiem Madonny leżał na posadzce z rozkrzyżowanymi rękami, jak ongiś pierwsi chrześcijanie. To był przedstawiciel dawnej katolickiej Hiszpanii. Kiedy zaś jaki zabytkowy kościół był zamknięty, a chciało się go zwiedzić, trzeba było szukać kościelnego i wówczas przychodził z kluczami mały chłopiec albo i dziewczynka, na której opiece i łasce spoczywały wszystkie nieprzebrane bogactwa świątyni.

Jakie kontrasty i różnice widziało się po miastach, to świadczy fakt, że Toledo ma 78 kościołów a ludności tylko 28.000. A miało kiedyś 200.000 mieszkańców. Teraz w czasie tej okropnej wojny ma być zupełnie zniszczone. Kordowa ma dziś 100.000 mieszkańców, a miała ich ongiś 500.000. Segowia ma dziś 16.000 ludności, a miała samych tkaczy ongiś 34.000.

Ogromne zacofanie i analfabetyzm idące razem z nędzą i lenistwem doprowadziły do zupełnego upadku narodu. Znienawidzono króla i monarchia musiała upaść, a z nią razem religia, jej podpora i obrona. Powstała republika, ale ta stała się efemerydą i rozbiła się pod obuchem anarchizmu i wtargniętego tu komunizmu. Obecnie mamy aż pięć rządów w Hiszpanii: gen. Franco (powstańców), w Bilbao (biskajski), w Barcelonie (kataloński)· we Walencji (komunistyczny) i słabo z nią związana Rada Obrony Madrytu, Milionowe, wspaniałe miasta bombardowane i palone obracają się w perzynę a ogół ludności cierpi niesłychany głód. Wojna przedłuża się i niewiadomo, jak długo potrwa. Gdyby inne państwa nie wtrąciły się w wypadki hiszpańskie, jużby dawno ta nieszczęśliwa wojna się skończyła.

Kraj taki piękny i bogaty, a tak nieszczęśliwy!

*Wojciech Walczak, student U. J.*

# Na górskich drogach Huculszczyzny.

**Z dziennika ekspedycji motocyklowej studentów geografii U. J. w Krakowie na kresy wschodnie.**

Zbudził nas jasny promyk lipcowego słońca, co przekradłszy się przez małe okienko jaremczańskiego schroniska „Doboszanka“, zaczął figlarnie zaglądać w oczy i drażnić swym blaskiem przez przymknięte powieki. Trzeci dzień naszego raidu zapowiadał się prześliczny, co po wczorajszym chmurnym wieczorze dodało nam wielce otuchy, gdyż nadzieja pięknej pogody w drodze przez Huculszczyznę przybrała zupełnie realne podstawy. Lawirując wśród śpiących na pryczach przygodnych sąsiadów, wśród porozrzucanych po podłodze okutych butów, plecaków, lasek, manierek i róznego kalibru turystycznych kuchenek, wyszliśmy wreszcie z izby noclegowej schroniska. Powitało nas jasne, wysoko już stojące słońce i lśniący w jego promieniach swemi niklowemi częściami nasz, stojący pod ścianą schroniska „Gillet“.

Jak wspomniałem, słońce było już dość wysoko i jasnymi promieniami pieściło srebrzyste, rozmigotane na skalnym podłożu fale Prutu, panujący nad doliną ciemno zielony masyw Bukowicy i ostro rysujący się na jego tle wyniosły wiadukt kolejowy, przesadzający śmiałym olbrzymim łukiem dolinę Prutu.

Kąpiel w lodowo zimnej, krystalicznej wodzie spędziła doreszty sen z powiek i dała wzamian rześkość i radość życia. Wkrótce też po śniadaniu siedzieliśmy na warczącym motorze, mknąc gładką jak stół szosą w kierunku wiaduktu, aby tu skręcić na boczną drogę wiodącą do słynnego wodospadu Prutu. Po jakich dwustu metrach stosując się do umieszczonego na tablicy zarządzenia, pozostawiamy motocykl i dalej już na własnych nogach kontynuujemy „osiągnięcie“ wodospadu, posuwając się wąską ścieżką wzdłuż

zasłanego olbrzymiemi głazami koryta Prutu. Zdala dochodzi już szum wodospadu, a wreszcie za zakrętem staje on w całej swej okazałości przed naszymi oczyma.

Prut przerzyna się w tym miejscu przez wąską skalną gardziel, a fale jego toczą się po wysokich skalnych progach, łamiąc się na skałach i odbijając od nich butą spienionych kaskad. Wyżej ponad wodospadem widnieje dalsza część koryta rzeki w obramowaniu lesistych stoków Jawornika i Makowicy.

Napatrzywszy się na ten piękny, lecz niestety trochę zeszpecony widniejącymi na ścianach skalnych podpisami „turystów“, zabytek naszej górskiej przyrody wróciliśmy do oczekującego motoru i po powrocie do szosy ruszyliśmy nią ku Jamnie. Szosa ta to może jeden z najpiękniejszych odcinków drogi przez Huculszczyznę.

Po jednej stronie stoki Makowicy, przedstawiające się jak prawie pionowa zieleniejąca świerkowym lasem ściana, a z prawej dziki skalny wąwóz z pieniącym się na dnie wśród głazów Prutem. Na drodze ruch jeszcze mały, od czasu do czasu tylko mijamy wędrujących w góry turystów, to znów kilka wolno wlokących się huculskich wózków. Motor warczy wesoło, pochłaniając przestrzeń w tempie 50 km. na godzinę. Wnet mijamy Jamnę, napoły wieś, napoły już letnisko i forsujemy olbrzymi łuk, jaki zatacza droga między Jamną a Mikuliczynem, wykorzystując naturalny szlak komunikacyjny, jaki tworzy wąska, dzika dolina Prutu.

Koło Mikuliczyna dolina znacznie się rozszerza dzięki temu, że Prut przyjmuje tu jako prawobrzeżny dopływ Prutec Mikuliczyński, a naturalnie że rozszerzenie to wykorzystała osada rozciągając się po całym dnie dolinami. Za Mikuliczynem jedziemy dalej wzdłuż Prutu, który koło stacyjki Podleśniów tworzy piękny a dziki przełom między stokami Jawornika Gorgańskiego a Leśniowa. Za przełomem dolina znów się rozszerza, po kilku kilometrach mijamy Tatarów i dalej walimy wzdłuż Prutu, obok towarzyszącego drodze od Delatyna toru kolejowego, po którym od czasu do czasu przebiega sapiąca lekomotywa ciągnąca mozolnie sznur wagonów. Jeżeli pociąg jedzie w naszą stronę, improwizujemy mały wyścig pozdrawiając „zwyciężanego“ maszynistę.

Przed Worochtą redukuję tempo maszyny, gdyż droga przechodzi nagle w wąski, wyjeżdżony kołami wozów i kamienisty szlak, tak że tylko na bardzo małym gazie, niemiłosiernie rzucani możemy się posuwać naprzód. W Worochcie droga zupełnie się poprawia, a dalej na Żabie prowadzi zupełnie dobra, nowa szosa. Mijamy ostatnie wille Worochty, przed nami szeroka dolina Prutu, na prawo skręcający ku zachodowi wiadukt kolejowy z linią na Woronienkę, a na lewo tuż nad drogą, na wysokiej terasie, wśród rozłożystych buków, na maleńkim zarosłym trawą cmentarzyku. wśród sterczących z trawy pochylonych czasem krzyży stoi przepiękna stara huculska cerkiewka.

Dziwny urok płynie z tych ciemnych drewnianych ścian, z łamanych, podkreślonych kontrastami cieni i jasnych plam słonecznych, gontowych dachów

i okapów, z prostej widnej wieżyczki kończącej się pochylonym od wichru żelaznym krzyżykiem. Ilez to pokoleń przeszło przez te wydeptane tysiącami stóp kamienne progi cerkiewki, ileż pokładło się wokół pod zieloną murawą na sen wieczny, ileż to wichrów, burz, nawałnic śnieżnych przeszło nad tą drewnianą wieżyczką — któż wie? — a jednak stoi dalej jakby na świadectwo twardej kultury ludu huculskiego, co mimo najazdu tandety miejskiej zachował swój folklor przejawiający się w jego życiu i stroju.

Obok wprawdzie stoi już duża, nowa cerkiew lecz z jej cebulastymi kopułami, z jej butą świeżych ścian jakże jej daleko do tego cichego uroku starej cerkiewki wśród krzyży opuszczonego cmentarza.

Za Worochtą droga prowadzi przez lasy państwowego nadleśnictwa pnąc się w licznych zakrętach na wododzielny grzbiet między Prutem a Czeremoszem. Nawierzchnia dość znośna, tylko pokryta grubą warstwą kurzu, którego całe chmury wzbijają się za nami obrzydzając życie mijanym turystom, wśród których przeważają grupki harcerzy.

Wokoło majestat bezkresnej zda się puszczy świerkowej i cisza brutalnie podarta na strzępy hukiem naszego motoru, który jak bestia apokaliptyczna wdarł się w ten przybytek zadumy karpackiej puszczy i wypełnił ją wściekłym warkotem silnika, bijącym o kolumnowe pnie i o zielone korony leśnych olbrzymów.

Po kilkunastu kilometrach lasy rzednieją i wkrótce osiągamy najwyzszą część wododziału jakieś 950 m. nad poziom morza.

C. d. n.

*Stanisław Ochałek, VII a.*

# Znachorstwo i wierzenia lekarskie w powiecie Jasielskim.

**(Spostrzeżenia i badania własne w Łajscach i okolicy).**

Smiejemy się, czytając przepisy lekarskie, którymi posługiwali się nasi przodkowie przed kilku wiekami. Jednak okazuje się, że podobnych guseł nie wypłoszyła kultura i cywilizacja nawet w XX. wieku. W Łajscach trwają one nadal jak za najlepszych średniowiecznych czasów czarownic i zamawiaczy.

Łajscanie na ogół nie uznają lekarzy. Mają dosyć swoich sposobów, a w najgorszym razie udają się do swojego niezrównanego, według nich, mistrza „artis medicinae". Mimo że edukacja tego mistrza pozwala mu z trudem i z wielu błędami napisać receptę, jego ziółka pomagają jak różdżka czarnoksięska.

Jednak i za te przepisy odwarów z kminku, sprzączki i tym podobnych chwastów trzeba coś zapłacić. Przeto do znachora takiego udają się w cięższej potrzebie. Przeważnie wystarcza zamówienie lub jakiś oryginalny, a tajemniczy zabieg, który pomaga zarówno ludziom jak i zwierzętom.

Ludzie znają oprócz kilku chorób takich, jak gruźlica i następujące dolegliwości: przestrach, rozwinięcie, różę, robaka, dymienicę i padaczkę, zwaną wielką chorobą. Inne indentyfikują z wyżej wymienionymi i odpowiednio je zamawiają.

Kilka poniższych zaklęć udało mi się stosunkowo dość łatwo zdobyć, bo informatorowie nie posądzali mnie o zamiar rywalizacji na polu samarytaństwa. Nieznajomemu jednak nie powiedzianoby słowa. Przytoczę więc je „gwoli uciesze“, a może użytkowi Czytelników.

Najbardziej znany jest przestrach, czyli lekki wstrząs nerwowy i dlatego jest kilka formułek, co jedna to lepsza.

Pacjenta sadza zamawiający przy stole z jakąś potrawą, żegna go, odmawia „Anioł Pański“ i 3 „Zdrowaś Mario“, a następnie taką formułkę: „Najświętsza Anna zrodziła Najświętszą Pannę Marię, Najświętsza Maria zrodziła Pana Jezusa; Jezu spraw, aby w tych kościach nie było żadnego lękania i strachania“. Następnie żegna potrawę, dmucha na nią od strony prawej ku lewej, a po spożyciu jej dolegliwość natychmiast ustępuje(?).

A oto drugi radykalny sposób. Po trzykrotnym odmówieniu „Zdrowaś Mario“ ofiaruje się intencję: „ofiaruję do Najświętszego Imienia Jezus, do wszystkich Stróżów Aniołów, aby żadne strachy ani przestrachy nie panowały w tych kościach“. Zakończenie tego gusła jest takie samo jak i poprzedniego. Tych dwu zaklęć nie wolno mówić żydom, bo straciłyby one swą moc, a także nie jest wskazane zdradzać ich nawet bliźnim współwyznawcom, bo to wcale zaklęciom nie jest pożyteczne.

Zaklęcia te mają też tą wadę (!), że skutkują tylko w ten sam dzień, w którym chory nabawił się „przestrachu“.

Medycyna innej plejady tych dobroczyńców ludzkości posługuje się znów taką metodą. Musi się wiedzieć, co nabawiło przestrachu danego człowieka, zwłaszcza dziecko, które nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie. Leje się więc wosk na wodę, a ulany z tego kulfon daje odpowiedź dwu — a nawet wieloznaczną jak wyrocznia delficka. Gdy stąd domyślą się, że powodem przestrachu jest ptak czy kot, to ucinają kawałek ogona i tym okadzają.

Podobnie zamawia się rozwinięcie, występujące przy dłuższej pracy, np. przy pisaniu, żęciu itd., objawiające się bólem kości, w powyższych wypadkach przegubu. Rozwinięcie ustąpi po dłuższym czasie lub je trzeba zamówić. Formułka brzmi tak: „Jechał Pan Jezus na osiołku do Jerozolimy, osiołek utknął, Pan Jezus se rączkę wytchnął (zwichnął). Matka Najświętsza to zobaczyła, za rączkę Go chwyciła. Zejdźcie się: żyłka do żyłki, kosteczka do kosteczki, ażeby były zdrowe te rączeczki“. Potem zamawiający żegna klienta trzykrotnie nożem.

Zamówienie to skutkuje natychmiast (?), jeżeli zamawiacz wypowie je jednym tchem. Jednak jest ono tak mocne, że nawet niewypełnienie tego warunku nie unicestwia go.

Różę leczą też zamawianiem.

Zamawiacz żegna chorego, po czym jednym tchem recytuje się: „Była tu róża, miała dziewięć wierzchów. Z tych dziewięciu osiem, z ośmiu siedem itd. Skąd-eś się wzięła, tam się podziej. Nie swoją cię żegnam mocą, ale Najświętszej Matki pomocą, wszystkich świętych pomocą, Pana Jezusa mocą. Święty(a) N., patronie (patronko) twój (twoja), przyprowadźże cię do pierwszego zdrowia“. Trzy „Zdrowaś Mario“ i dmuchnięcie w chore miejsce uzupełniają zaklęcie.

A teraz sposób na pewną chorobę, o której na pewno nikt nie słyszał, ani nie będzie słyszał. Mianowicie ma istnieć robak tak jadowity, że wystarczy przejść tędy, gdzie on pełzał, lub żeby ten robak „ozionął“ człowieka, aby natychmiast zaczął puchnąć, stracił przytomność i wymiotując upadł. Stąd wynika, że szczycimy się okazem fauny, który przewyższa jadowitością kobrę.

Wypadki zachorowania na robaka zdarzają się się często(??) przy pracy w polu. Jeżeli dotknięty chorobą dobiegnie prędzej do wody niż robak, zostanie uleczony. Jednak ponieważ upada, więc musi zamówić: „Szczęśliwy czasie, szczęśliwa godzinecka była, gdy Najświętsza Maria Panieneczka Synaczka powiła. Nie swoją cię żegnam mocą, jeno Boskiej Matki Najświętszej pomocą, wszystkimi świętymi pomocą, gdzieś się wzięła, tam się podziej i Imię Boga Ojca“. Odmawia się trzy razy „Zdrowaś Mario“ i dmucha się na chorego.

Styl tych zaklęć pozostawia dużo do życzenia. Ludzie bowiem przepisują sobie na kartkach zaklęcia, popełniając błędy stylistyczne, nie mówiąc już o innych. Ludzie przyjmują je bezkrytycznie, uważając te usterki za konieczne i wcale się nimi nie martwią, tym bardziej, że myślą, że drobna zmiana spowodowałaby bezskuteczność zaklęcia.

Często zapadają ludzie na „dymienicę“, guz w pachwinie, spowodowany brudnym utrzymywaniem ran. Żeby się „dymienicy“ pozbyć, staje się chorą nogą na siekierze i przerzuca się pod koszulą ogień trzykrotnie. Skutek wątpliwy, a przy tym można się poparzyć.

Najciekawsze są zabiegi przeciw padaczce, lecz zamawiacze trzymają je w tajemnicy, a ludzie, których krewnych w ten sposób leczono, wstydzą się powiedzieć, bo nie ujrzawszy skutku, ujrzeli swoją głupotę. Pamiętam jednak kilka szczegółów z długiego i zawiłego procesu leczenia.

Najlepszym lekarstwem jest serce kreta zjedzone na surowo, uzupełnieniem jest wyniesienie koszuli chorego wyprażonej w piecu.

Pewne dziecko leczono wsadzając je do dzieży z chleba, którą umieszczono w żłobie, a potem w piecu, okrywano dzieżę szmatami i wreszcie wykonywano cały szereg innych guseł.

Jeżeli dzieci nie chcą spać, radzą sobie w ten sposób: w trzech kątach zdrapują trochę wapna, mówiąc i odpowiadając: „Co ty szukasz? Dziecięciu spania, żeby dobrze spało, nigdy nie płakało“. Wapno wrzuca się do kołyski pod głowę.

Jeżeli to nie poskutkuje, dają lekarstwo naprawdę skuteczne: odwar z zielonego maku, który jak wiadomo zawiera opium. Wkładają też do kołyski zielone łodygi maku.

Przeciw bólowi zębów stosują okadzanie parą, powstałą przez polanie rozpalonej cegły spirytusem lub mlekiem, lub parą z gotowanego kminku. Katar radykalnie usuwa (?) dym ze słomy wyrwanej z dachu, ale nieinaczej jak przez okno.

Może, gdy komu nie pomoże lekarz, wypróbuje skuteczności tych ceregieli A teraz kilka sposobów z rubryki „praktyczny weterynarz“.

U koni spotyka się często t. zw. kurdziel, czyli choroba tocząca język konia. I w tym wypadku stawiają wyżej zamówienie, niż jakiś racjonalny zabieg. Mały palec lewej ręki zakłada się za pas, zaś nożem trzymanym w ręce prawej żegna się konia ze słowami: „Poszedł chłop, do lasa wziął kurdziela, do lasa. Chłop przyszedł, kurdziel nie przyszedł. Gryź tam skały kamienie, boś ty boskie stworzenie. Mojego bydlątka ani sierotki nie rusz“. Ponownie żegna się konia nożem i odmawia się „Zdrowaś Mario“.

Krowy i świnie zapadają na tzw. żółć, (obrzęk wymion). Zamawia się tak: „Jest tu żółć, co ma dziewięć żądz, z tych dziewięciu osiem, z ośmiu siedem, z siedmiu sześć, z sześciu pięć, z pięciu cztery i t. d. Skąd-eś się wzięła, tam się podziej“. Słowa te musi się wypowiedzieć jednym tchem, potem trzeba odmówić „Zdrowaś Mario“ i przeżegnać.

Zaklęcie to powstało w sposób wcale nie oryginalny. Mianowicie o pewnym człowieku mówiono, że dobrze umie zamawiać, mimo że on nie wierzył w zamawianie Jednak rozśmieszony zaproszeniem zamówienia krowy, poszedł do niej, pomruczał trochę, przeżegnał, a krowa na drugi dzień wyzdrowiała. Wiadomość ta, zresztą mocno wątpliwa, zrobiła mu markę zamawiacza. Dowiedziała się o tym inna kobieta i za przepis na kurdziel wymogła od niego zaklęcie na żółć, naprędce sklecone według zaklecia na różę. Wzmianka ta jest zupełnie pewna, bo oprócz informatora, zarazem autora ostatniego zaklęcia, dwaj inni „rzeczoznawcy“ powiedzieli mi te same słowa (zaklęcia, a nie historii).

Gdybym tak kiedy dożył tej pociechy,
Żeby ten numer zabłądził pod strzechy

Łajsc, to możeby Łajscanie stracili wiarę w te zabobony dowiedziawszy się, że nie są już ich wyłączną tajemnicą, a tym zniechęceni możeby zaprzestali ich pielęgnowania. Na razie z małymi wyjątkami wierzą w nie święcie. Rzeczy to ciekawe, ale chluby nie przynoszące.

*Karol Gawlik, kl. II. b.*

## Wśród wrzawy wielkich miast i ciszy uroczych gór.

Po skończonej podróży po miastach, pojechałem pociągiem na wschód Polski, by ze Lwowa podążyć na kręte wody Dniestru i wartkie nurty

Bystrzycy. Tu był koniec podróży pociągiem, gdzie nad Bystrzycą leży podgórska miejscowość Nadwórna. Miasto to leży u stóp piętrzących się ponad 1000 metrów (n. p. m.) gór. Dlatego panuje w nim dość ożywiony ruch, zwłaszcza że przybywają tu liczni turyści. Tu w schronisku spotkałem ku wielkiej swej radości swego wychowawcę, który również miał zamiar powędrować pieszo w góry. I ja chętnie skorzystałem z jego uprzejmości i przyłączyłem się doń, by korzystać z bardzo fachowych objaśnień i wskazówek. Przypadek chciał, że naszemu wymarszowi w góry przeszkodził długi i uporczywy deszcz. Nie chcąc więc bezczynnie tracić czasu, zwiedziliśmy w pobliżu się wznoszące stare ruiny zamku.

Zamek ten widnieje ponad miastem jak gdyby był koroną gór. Wysokie, masywne mury i dziurawe baszty, zawalone gruzem i zarosłe różnym zielskiem, a nawet młodymi drzewkami, wyglądają w swym majestacie jakoś dziko i ponuro. A gdy wieczorem stanęliśmy na jego złomach tuż przed głęboką jamą, z której wydobywały się jakieś tajemnicze, grobowe tony, dreszcz przebiegł po mych kościach, a w umyśle stanęły jak żywe, postacie legendarnych bohaterów, których dusze do dziś dnia pokutują w starych murach, basztach i grotach. Do środka ruin prowadzą trzy wejścia; jedno od południowego-zachodu jest jeszcze dobrze zachowane, bowiem są jeszcze nienaruszone mury i półokrągłe sklepienia, prowadzi do środka, gdzie znajduje się głęboki kolisty dół, widocznie pozostałość z jakiegoś więzienia zamkowego. Pozostałe dwie bramy zachowały się tylko w szczątkach. Wszędzie widać olbrzymie złomy skalne, wzniesione nawet na dużą wysokość, co jest dowodem, że jest on dziełem niedzisiejszych ludzi, lecz dawnych chłopów lub jeńców wojennych. Według danych historycznych zbudował go w XVI wieku niejaki rycerz Kuropatwa. Była to twierdza, w celu obrony przed najazdami Turków i Tatarów. Nie przetrwał on ani wieku, gdyż zniszczyli go doszczętu nieznani tu dotychczas wrogowie: Szwedzi. Był to osławiony najazd zwany Potopem Polski. Ruiny jego leżały znów przez wiek prawie bezużytecznie, zanim je ponownie odbudowano w XVIII wieku, by po krótkim istnieniu ponownie stał się siedliskiem orłów i jastrzębi.

Na trzeci dzień zabłysło radosne słońce i wezwało nas do dalszej podróży. Podróż tę odbyliśmy wąskotorową kolejką leśną, aż do Rafajłowej, słynnej z walk Legionów. Niedaleko Nadwórnej leży też Mołotków, gdzie nastąpił krwawy odwrót przed naporem wojsk rosyjskich.

Z Rafajłowej podążyliśmy szlakiem czerwonych znaków wzdłuż rwących i pieniących się wodospadami potoków do Ozirnego. Skromne to osiedle, bo zaledwie składające się z leśniczówki państwowych lasów, jest stacją turystów i stąd rozchodzą się gromadki ich w różnych kierunkach.

Sama leśniczówka leży w pięknej okolicy. Wąską zamykającą się dolinę porastają młode jodły i świerki, a wśród nich, jak palma na pustyni, piękny domek leśniczego zbudowany z drzewa, pokryty również drewnianymi gontami. Drzwi i okna są oznaczone błękitnymi obwódkami, a na drzwiach widnieje z dala widoczny krzyż. Takie krzyże można spotkać nawet w innych

okolicach Polski. Na uwagę również zasługuje szerokie podcienie z jednej strony tego budynku, przez które wchodzi się do mieszkania.

Po noclegu w tej leśniczówce wyruszamy wczesnym rankiem przy mglistym niebie w góry, po szerokich ścieżynach wspinamy się wśród lasu na szczyt Doboszanki przy pomócy czerwonych znaków. Po kilkugodzinym marszu przez gąszcza leśne wydostajemy się na zbocza nieco rzadziej zalesione, ale gęsto usypane kamieniami. Kamienie te występują czasem pojedynczo i mają kształt dużych stołów lub ław, niekiedy zaś skupione są w wielkie zwały, niby rumowiska. Droga wśród nich chociaż niezbyt stroma jest dość trudna. Idziemy dalej. Poranna mgła przysłaniała nam widok na inne strony i zbocza górskie. Po dłuższej drodze wśród hali i mgieł wychodzimy na pewne wzniesienie, które zdawało się nam już szczytem Doboszanki. To było tylko złudzeniem spowodowanym ciężką mgłą, która przysłoniła nam szczyt właściwy. Stąd zeszliśmy po małej pochyłości wśród złomów kamiennych, aż pod samą Doboszankę. Zdala dochodzące dźwięki dzwonków i rozmowa skierowała nas na właściwą drogę. Po chwili uciążliwej drogi spotkaliśmy trzech turystów wracających właśnie ze szczytu. Ci udzielili nam cennych wskazówek. Według ich informacyj po ciężkich i niebezpiecznych żlebach zasypanych gruzem wyszliśmy wreszcie na sam grzbiet Doboszanki, który ciągnie się na przestrzeni około 3 kilometrów. Doboszanka jest po Sywuli najwyższym wzniesieniem w Gorganach, liczy bowiem 1775 metrów n. p. m. Mocno żałuję, że nie trafiłem na dzień pogodniejszy, słoneczny, który umożliwiłby mi zobaczyć wspaniałe widoki. Idąc samym grzbietem natrafiłem na biało-czerwony słup wskazujący nam drogę powrotną ze szczytu do schroniska P. T. T. Zejście było niemniej trudne, jak i wyjście, ponieważ drogę zasłaniały nam ogromne kamienie, na które trzeba się wdrapać, a potem skakać. Stąd zeszliśmy na szerokie połoniny, a za chwilę na lasy. Las nie ciągnął się zbyt długo, gdyż zbocza są strome, a na jego końcu znajduje się piękne schronisko P. T. T.

W schronisku tym spotkała nas miła niespodzianka, ponieważ spotkaliśmy tam dwóch turystów, którzy chętnie podzielili się z nami własnymi wrażeniami z podróży i wysłuchali naszych. Jeden z nich kupił nawet naszego „Młodego Geografa“. Po noclegu zamierzaliśmy wyruszyć w stronę szczytów: Chomiaka, Siniaka, ale zrezygnowaliśmy z tego, ponieważ nasze nogi domagały się rozpaczliwie wypoczynku po trudach na Doboszance. Dlatego skierowaliśmy się nieco w dół, wzdłuż zielonych znaków w stronę Jaremcza. Po drodze mieliśmy parę przygód, a najważniejsze, że zboczyliśmy z właściwej drogi i błąkaliśmy się przez długi czas po bezdrożach, zanim spotkaliśmy kolibę, od której prowadziła ścieżeczka na grzbiet. Z grzbietu dotarliśmy na główną drogę, którą już zaszliśmy prosto do Jaremcza. Jaremcze leży w przecudnej dolinie wśród wzgórz zalesionych lub tylko pokrytych drobnymi krzewami jałowca, na których pasą się stadka owiec lub małe huculskie koniki. Cała miejscowość usiana jest wspaniałymi willami jaskrawo malowanymi olejną farbą. Wille te błyszczą czystością i symetrycznym rozłożeniem klombów,

ścieżyn i grządek przed ich frontami. Pełno tu letników, którzy pragną odetchnąć wonnym powietrzem gór, po długim pobycie w zadymionych miastach. Tu przenocowaliśmy w schronisku szkolnym, by następnego dnia poznać osobliwości miejscowe. Przedewszystkiem marzeniem moim było poznać wody Prutu, o których od dzieciństwa słuchałem pieśni. Po drodze jednak wstąpiłem do katolickiego kościółka.

Zdala od rzeki słychać już silny gwar, a niekiedy i huk, który staje się coraz wyraźniejszy w miarę zbliżania się do wodospadu. Sam wodospad znajduje się w lesie. Wody pędzą naprzód w obszernym korycie, tracą nagle grunt pod sobą i skaczą jak rozhukane konie z kamienia na kamień z wysokości kilku metrów. Fale przeskakują jedna przez drugą, rwą kamień i niosą kawałki drzewa i kłębią się białą pianą u spodu. Słuchałem tego szumu wody niby pieśni i chętnie przestałbym tu parę godzin, by podziwiać cuda natury, lecz ponieważ byłem zmęczony, wspomniałem sobie, że byłoby nieźle wykąpać się w tej rzecze. Kąpiel była znakomita, a woda zimna jak lód. Po kąpieli poszliśmy na olbrzymi kamień zwany kamieniem Dobosza, o którym krążą wieści, jakoby olbrzym Dobosz miał go zrzucić ze swej groty.

Stąd poszliśmy do Delatyna przez ostatnią huculską wieś Dorę. Była to łatwa droga, góry zmalały i spłaszczyły slę. Znikły również gołe kamieniste szczyty, a ukazały się kopulaste, pokryte lasami kopy i kopice. Tu był kres mojej pieszej podróży. Wesoły i zadowolony z trudów tej wycieczki, powracam pociągiem przez Nadwórną spowrotem do domu, by przez długie noce nieraz śnić o trudnych podchodach i pięknych widokach i przeżywać po raz wtóry najmilsze chwile w mojem życiu spędzone na łonie natury.

Wycieczka ta przyczyniła sią nietylko do mego poznania tych okolic. ale przedewszystkim zachęciła mnie do dalszego wędrowania po kraju. Wycieczka bowiem i naoczne poznanie kraju daje bezwarunkowo o wiele więcej niż nudne ślęczenie nad tomami dzieł. Dlatego gorąco polecam każdemu, jeśli kto chce poznać geografię naszego kraju, niech pójdzie osobiście dany region zwiedzić, poznać i ocenić, bo tylko wtedy może przyjść do prawdziwej wiedzy.

# Jak Szwajcarzy urządzają sobie życie.

Jeśli ktoś nie zapłaci rachunku elektrowni w Polsce, nietylko zamykają dopływ prądu, ale jeszcze nakładają karę. Tak samo postępuje gazownia. Natomiast w Szwajcarii postępują delikatniej i oryginalnie. W razie niezapłacenia rachunku, wstawiają dłużnikowi do mieszkania automat i od tej chwili o ile chce korzystać z dopływu prądu, względnie gazu, musi wrzucać do automatu stosowną monetę.

W ten sposób dłużnik ma sposobność, bez przerywania swej wygody, drobnymi kwotami odczekać na przypływ monety i zapłacić wtedy rachunek,

zaś zakłady miejskie nic nie tracą, gdyż na tych drobnych, droższych ratach, odbijają sobie procent zwłoki.

Listonosze nie chodzą, tylko jeżdżą po piętrach.

W domach piętrowych znajdują się na parterze w sieni, stosowne skrzynki, do których listonosz wrzuca pocztę, a każdy mieszkaniec wybiera ją sobie ze swej skrzynki. Tylko w domach, mających windy, listonosz doręcza osobiście pocztę, ale korzysta bezpłatnie z windy.

Pół życia — w automatach.

Niema na świecie kraju tak zautomatyzowanego, jak Szwajcaria, nawet nie dorównują jej osławione z wynalazków Stany Zjednoczone. Gdzie stąpisz, na ulicach, na dworcach kolejowych, w kinach, w dolinach i na górach, wszędzie szczerzy do ciebie zęby jakiś automat. Wrzucając kilka groszy dostaniesz znaczki pocztowe, karty widokowe, papier listowy, papierosy i cygara, ciastka i słodycze, kanapki, napoje, wodę sodową, mleko, sery i inne. Można sobie do woli gasić pragnienie i łaskotać podniebienie, zapalić i posilić się, oraz korespondować.

Kelnerzy i obsługa mogą sobie także odpocząć.

W restauracjach i kawiarniach nie obowiązuje obsługę przymus stania, ale wolno kelnerowi w kącie usiąść, gdy gość nie potrzebuje usługi. Natomiast obowiązuje ustawiczna obserwacja gości i gotowość obsługi na każde skinienie.

Szwajcaria ma mimo to najuważniejszą usługę na świecie. Nie widać za to bezmyślnie kręcących się po sali, nieraz śmiertelnie znużonych, kelnerów.

Tradycyjna uczciwość szwajcarska w bramach domów.

Każdego ranka można zauważyć przed drzwiami mieszkań wystawione naczynia na mleko i pieczywo z książeczką, w której pani domu wypisuje swoje życzenia do mleczarza lub piekarza. Każdego zaś pierwszego wkładają panie do książeczek należne za cały miesiąc pieniądze.

Poprostu nie zdarza się, aby ukradziono naczynia i pieniądze i obrażono uświęconą tradycję.

Ochrona dziatwy szkolnej.

W większych miastach szwajcarskich obowiązuje przepis, że na ulicach położonych przed szkołami, wstrzymuje się komunikację samochodową na te chwile, gdy młodzież schodzi się do szkoły i gdy po nauce z niej wychodzi, oraz podczas pauz szkolnych, aby nie była narażoną na wypadki.

W tym celu każda szkoła posiada owalne czerwono-białe tablice ostrzegawcze dla automobilistów, które wystawia się na ulicę na te chwile, gdy młodzież jest w ruchu, poczem tablice zostają uprzątnięte i komunikacja odbywa się dalej bez przeszkody. Ponadto obowiązuje zakaz akustycznych sygnałów.

Powszechne czytelnictwo gazet i książek.

Każda dzielnica Zurychu posiada publiczną bibliotekę i czytelnię im. Pestalozziego.

Wstęp do nich wolny i bezpłatny dla każdego. Wszyscy mogą czerpać dowoli i darmo z krynicznego zdroju wiedzy i nauki.

# Powolne wymieranie rasy białej.

Obecna liczba mieszkańców ziemi wynosi 2.080 milionów ludzi, z czego 678 milionów, to jest $^1/_3$ przypada na rasę białą. Cyfra urodzin w ciągu roku wynosi 61 milionów, z czego zaledwie $^1/_4$, a mianowicie 17 milionów przypada na rasę białą. Widać z tego, że rasa biała powoli wymiera. W Ameryce „kolorowi" zyskują coraz bardziej na terenie. Odczuwa się to szczególnie w Ameryce łacińskiej, gdzie mimo imigracji dysproporcja między ludnością białą a kolorową stale wzrasta na korzyść tej ostatniej. W Meksyku np, gdzie w początkach bieżącego stulecia na 15 milionów mieszkańców było 3 miliony rasy białej, dziś na 19 milionów mieszkańców, białych jest tylko 2,7 milionów. W Stanach Zjednoczonych A. P. liczba murzynów tak wzrasta, że stanowią obecnie 1/10 ludności. Spadek liczby narodzin w Europie, gdzie niema „kolorowych", jest nierównomierny, największy wśród ludu romańskich najmniejszy wśród Słowian, tem niemniej jednak bardzo znaczny. Francja za czasów Ludwika XIV posiadała ze wszystkich krajów Europy zachodniej najwięcej ludności i na każdych 3-ch europejczyków przypadał jeden Francuz, dziś pod względem ludności zajmuje ona miejsce piąte, z wyraźną tendencją ustąpienia tego miejsca Polsce, schodząc sama na miejsce szóste, przyczem jeden Francuz przypada na każdych dwunastu europejczyków.

W r. 1960 ludy romańskie stanowić będą 1/5 ludności Europy, ludy germańskie — 1/4 resztę zaś Słowianie. —